

Bartłomiej Kozłowski

Redwatch.info – poza granicami wolności słowa?

Artykuł opublikowany pierwotnie (pod innym tytułem) w ramach działu [Kartka z kalendarza](#) na portalu [Polska.pl](#).

Niedawno, w pierwszych miesiącach 2006 r. dużego rozgłosu nabrała w Polsce sprawa stworzonej przez działającą w kilku krajach europejskich organizację neonazistowską „Blood&Honour” („Krew i Honor”) strony internetowej *redwatch.info*.

Administratorzy tej witryny, której mottem są zdania lidera i wokalisty brytyjskiego zespołu punkrockowego „Skrewdriver” Iana Stuarta Donaldsona: „*Pamiętaj miejsca, twarze zdrajców rasy, oni wszyscy zapłacą za swoje zbrodnie*” – i wnuczki włoskiego Duce i posłanki do Parlamentu Europejskiego Alessandry Mussolini: „*Lepiej być faszystą, niż pedałem*” – opublikowali na niej listę swoich wrogów w Polsce. Znalazły się na niej nazwiska, zdjęcia i pewne informacje personalne (typu „mieszka w okolicy” „studiuje na...” „związany z...” „groźny... niegroźny w starciu bezpośrednim”) a w pewnych przypadkach także adresy poczty elektronicznej, numery telefonów komórkowych i gadu-gadu, oraz w kilku przypadkach adresy domowe - kilkuset osób ze środowisk anarchistycznych, gejowskich i lewicowych, a także działaczy na rzecz praw człowieka i dziennikarzy.

Jak można było przeczytać we wstępie do wspomnianej strony, jej celem było „*zbieranie wszelkich możliwych informacji (zdjęć, adresów, nr telefonów, nr tablic rejestracyjnych samochodów etc.) na temat osób trudniących się działalnością antyfaszystowską, antyrasistowską, kolorowych imigrantów, działaczy lewackich stowarzyszeń i wszelkiego rodzaju sympatyków i aktywistów szeroko rozumianego lobby homoseksualnego oraz pedofili*”. Gromadząc i publikując te informacje, twórcy *redwatch.info* postanowili uświadomić środowiskom, które są im przeciwne, że to, co one wiedzą na ich temat jest niczym w stosunku do wiedzy, jaka oni posiadają o nich.

Umieszczeni na wspomnianej liście ludzie – często nie mający wiele wspólnego z marszami na rzecz praw mniejszości – początkowo nie czuli się zagrożeni. Zmieniło się to po tym, jak 30-letni Maciej Dowhyluk ps. „Chirurg” – którego nazwisko znajduje się na drugim miejscu warszawskiego działu listy – padł ofiarą brutalnego napadu na warszawskim Powiślu (gdzie zresztą mieszka). Wracającego do domu z zakupami Maćka zaatakowało dwóch mężczyzn. Krzyżąc „Zabijemy cię, ty lewacka k...” prysnęli mu w twarz gazem łzawiącym, skopali, a na koniec wbili w plecy 30 cm nóż. Zaatakowany w stanie ciężkim trafił do szpitala.

Ludzie aresztowani – strona działała dalej

Sprawców napaści na Macieja Dowhyluka jak dotąd nie schwytano. Nie wiadomo więc (w każdym razie, ze stuprocentową pewnością) czy przestępstwo to miało w ogóle cokolwiek wspólnego ze stroną *redwatch.info*. Niemniej jednak, powszechne oburzenie, jakie wywołała ta zbrodnia, a także przekonanie, że inspiracji do jej popełnienia dostarczyła *redwatch.info*, zmobilizowały organy ścigania do podjęcia intensywnych działań przeciwko osobom podejrzanych o redagowanie tej strony lub przekazywanie jej administratorom umieszczanych na niej informacji. W wyniku szeroko zakrojonej akcji policji zatrzymano szereg osób, którym postawiono zarzuty publicznego nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość (art. 256 k.k.), publicznego nawoływania do stosowania przemocy

względnie groźby bezprawnej wobec innych osób z powodu ich przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, politycznej, wyznaniowej lub z powodu jej bezwyznaniowości (art. 119 §2 k.k.), działania w zorganizowanej grupie przestępczej (art. 258 §1 k.k.), a także przetwarzania w zbiorze danych osobowych ujawniających m.in. pochodzenie rasowe i etniczne, a także poglądy polityczne, przekonania religijne i filozoficzne oraz informacje o życiu seksualnym innych osób – czego zabrania art. 49 §2 Ustawy o Ochronie Danych Osobowych. Najpoważniejsze z tych przestępstw – jakim jest nawoływanie do stosowania przemocy lub groźby bezprawnej z powodu przynależności narodowej, etnicznej etc. zagrożone jest karą od 3 miesięcy do 5 lat więzienia, za pozostałe grożą kary do 2 lub 3 lat pozbawienia wolności. Sama strona – umieszczona na serwerze znajdującym się w Stanach Zjednoczonych – działa nadal. Polskie władze podjęły jednak działania zmierzające do usunięcia jej z Internetu.

Choć o *redwatch.info* mówiło i pisało się dużo, sprawa tej witryny internetowej nie wywołała (przynajmniej dotąd) w Polsce większej dyskusji – np. nad zakresem wolności słowa. Wygląda na to, że uczestnicy życia publicznego zgodnie są przekonani, że działania polegające na stworzeniu tej strony i umieszczeniu na niej wspomnianych już informacji powinny być traktowane (i słusznie potraktowane zostały) jako przestępstwo.

Czy rzeczywiście jednak sprawa *redwatch.info* jest z punktu widzenia prawa do swobody wypowiedzi całkiem bezproblemowa? Bez wątplenia – język tej strony i stojąca za nim skrajnie ksenofobiczna, faszystowska ideologia są dla dużej większości ludzi czymś odrażającym. Nie ulega też wątpliwości, że przynajmniej część osób, których nazwiska znalazły się na *redwatch.info*, poczuła się poważnie zaniepokojona o własne bezpieczeństwo. Wreszcie – istnieją niemożliwe jak na razie do udowodnienia ze stuprocentową pewnością – ale uzasadnione podejrzenia, że zawarte na tej stronie informacje przyczyniły się do próby morderstwa.

Czy są to jednak dostateczne powody, by uznać, że wspomniana witryna stoi poza granicami wolności słowa? Aby rozważyć tę kwestię, warto zwrócić uwagę na wydany w 1982 r. wyrok Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych w sprawie, jaką biali handlowcy z Hrabstwa Claiborne w stanie Missisipi wytoczyli niegdyś aktywistom działającego głównie na rzecz poprawy losu amerykańskich Murzynów Krajowego Stowarzyszenia na Rzecz Postępu Ludności Kolorowej ([National Association for the Advancement of Colored People](#) – dalej NAACP). Choć wydarzenia, którymi zajmował się amerykański Sąd Najwyższy na pierwszy rzut oka nie miały nic wspólnego z tym, z czym mamy do czynienia w przypadku *redwatch.info*, przy bliższym przyjrzeniu się obu tym sprawom staje się jasne, że pewne ich elementy są bardzo do siebie podobne. W amerykańskiej sprawie też miała miejsce radykalna – mająca cechy gróźb czy nawoływania do przemocy retoryka, były też „czarne listy” - była wreszcie fizyczna przemoc. Jednak – mimo występowania tych wszystkich czynników – [Sąd Najwyższy USA](#) jednogłośnie uznał, że wypowiedzi i działania, z powodu których pozwani działacze zostali skazani na wypłacenie wysokich odszkodowań przez sąd stanowy, musiały pozostać bezkarne – jako że były chronione przez Pierwszą Poprawkę (1) do [amerykańskiej Konstytucji](#).

O co chodziło?

Sprawa [NAACP versus Claiborne Hardware Co.](#) tyczyła się wieloletniego, trwającego w latach 1966 – 1972 bojkotu białych handlowców w Hrabstwie Claiborne w Stanie Missisipi. W bojkocie tym, którego organizatorem było Krajowe Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Ludności Kolorowej (NAACP) uczestniczyli zgodnie niemal wszyscy członkowie liczącej ok. 8000 osób czarnej społeczności Hrabstwa Claiborne. Celem podjętych przez inicjatorów i uczestników bojkotu działań było doprowadzenie do zakończenia trwającej tam wciąż

dyskryminacji Murzynów. Stawiano żądania wprowadzenia pełnej desegregacji rasowej wszelkich szkół i innych budynków użyteczności publicznej, wybierania Murzynów do ławy przysięgłych, traktowania Murzynów przez policję z takim samym szacunkiem, jak białych obywateli, zatrudnienia czarnego policjanta, poprawy warunków życia w rejonach zamieszkałych przez Czarnych i wreszcie, zatrudnienia Murzynów jako kasjerów i pracowników biurowych we wszystkich miejscowych sklepach.

Bojkot... nie całkiem pokojowy

Bojkot – zasadniczo rzecz biorąc – miał charakter pokojowy. Towarzyszyły mu liczne przemówienia zachęcające osoby nie uczestniczące w bojkocie do przyłączenia się do niego, a także marsze i pokojowe pikety. Jednak pewne działania podejmowane przez organizatorów i uczestników wspomnianego bojkotu miały charakter – delikatnie mówiąc – nieco kontrowersyjny. Pod sklepami białych handlowców stali ubrani w czarne kapelusze osobnicy, którzy zapisywali nazwiska tych osób, które - mimo bojkotu – robiły w tych sklepach zakupy. Główny organizator bojkotu, którym był sekretarz polowy NAACP w stanie Missisipi [Charles Evers](#) (ur. 1922), wygłaszał ostre, emocjonalne przemówienia. W jednym z nich ostrzegł łamiących bojkot, że szeryf nie będzie w stanie chronić ich w nocy, a w innym posunął się do stwierdzenia, że *„jak kogoś z was złapiemy w którymś z tych rasistowskich sklepów, to złamiemy mu jego przeklęty kark!”*.

Zapisane przez „czarne kapelusze” nazwiska Murzynów robiących zakupy w bojkotowanych sklepach były drukowane w wydawanej przez organizatorów bojkotu gazecie i odczytywane podczas zebrań w kościele. Niektóre z tych osób padły ofiarą przestępstw, popełnionych przez krewkich zwolenników bojkotu – komuś ostrzelano dom z broni palnej, kogoś pobito, komuś zdemolowano samochód, jakiejś kobiecie podeptano kwiatki w ogródku.

Kolosalne odszkodowanie

W październiku 1969 r. siedemnastu poszkodowanych w wyniku bojkotu handlowców złożyło przeciwko jego organizatorom (w tym samej NAACP) i uczestnikom pozew cywilny w Sądzie Kanclerskim Hrabstwa Hinds. W sierpniu 1976 r., po trwającym ponad trzy lata procesie sąd uznał, że pozwani winni są złośliwego utrudniania prowadzenia działalności gospodarczej, naruszenia ustawy antymonopolowej, złamania zakazu bojkotów solidarnościowych i udziału w spisku. W rezultacie - od organizatorów i uczestników bojkotu zasądzono odszkodowanie w olbrzymiej wysokości 1 250 699 dolarów, do czego dochodziły koszty procesu.

W II instancji

W grudniu 1980 r. Sąd Najwyższy Stanu Missisipi częściowo zrewidował orzeczenie sądu I instancji – m.in. uznał, że w sprawie tej nie miały zastosowania ustawa antymonopolowa i ustawa o zakazie bojkotów solidarnościowych. Jednak decyzja o zasądzeniu odszkodowań została w zasadniczej mierze utrzymana. Zdaniem tego sądu, uczestnicy i organizatorzy bojkotu posunęli się do zastraszania, gróźb społecznego ostracyzmu, oczerniania i aktów fizycznej przemocy wobec tych członków czarnej części społeczności Hrabstwa Claiborne, którzy nie chcieli uczestniczyć w bojkocie. Wiele osób – zdaniem sądu – brało udział w bojkocie wyłącznie ze strachu. Stwierdzając, że wspólna zgoda na użycie siły, przemocy i gróźb jest istotą spisku, Sąd Najwyższy Missisipi, podobnie jak sąd niższej instancji uznał cały bojkot za bezprawny, a jego organizatorów i uczestników odpowiedzialnych za wszelkie straty, jakie pozywający ponieśli w wyniku bojkotu.

Mieli prawo

Sąd Najwyższy USA, do którego odwołali się skazani, unieważnił jednak orzeczenie sądu stanowego. W jednogłośnie wydanej opinii, której autorem był sędzia [John Paul Stevens](#), sędziowie tego trybunału uznali, że o ile pozywający mają – jak najbardziej – prawo do uzyskania odszkodowania za konsekwencje aktów przemocy, to nie mają prawa do odszkodowania za straty spowodowane przez działalność zgodną z prawem. A sam bojkot – i olbrzymia większość podejmowanych w związku z nim działań – nie były bezprawne. Za sprzeczny z I Poprawką do Konstytucji uznany został fragment orzeczenia Sądu Najwyższego Missisipi, w którym sąd ten uznał, że pozwani winni odpowiadać za straty spowodowane bojkotem, gdyż wielu uczestników bojkotu było „zastraszone” przez „groźby” społecznego ostracyzmu i oczernienia.

I Poprawka do Konstytucji USA – jakkolwiek nie chroni nikogo przed odpowiedzialnością za groźby przemocy, to wyklucza ukaranie kogokolwiek za „groźby” zachowań, które – choć przykre – nie są jednak zakazane prawem. Znakomita większość uczestników bojkotu brała w nim zresztą udział po prostu dlatego, że uważała to za słuszne – a nie dlatego, że się czegoś bała. Podobnie, zdaniem amerykańskiego Sądu Najwyższego, niedopuszczalne było pociągnięcie do odpowiedzialności cywilnej osobników, którzy stali w czarnych kapeluszach przed bojkotowanymi sklepami i zapisywali nazwiska Murzynów, którzy robili w tych sklepach zakupy. Jak zauważył bowiem sędzia Stevens *„Nie ma nic bezprawnego w staniu przed sklepem i zapisywaniu nazwisk jego klientów. Podobnie, nie ma też nic bezprawnego w noszeniu czarnego kapelusza – jakkolwiek taki wygląd może u innych wywoływać obawę”*. Za niedopuszczalną przesłankę pociągnięcia do odpowiedzialności uznany został też regularny udział w zebraniach lokalnego oddziału NAACP.

Lecz problem prawny na tym się nie kończył. Jak była już bowiem mowa, w trakcie wspomnianego bojkotu miały miejsce działania o charakterze jednoznacznie przestępczym. Oczywiście, kwestia tego, czy bezpośredni sprawcy wspomnianych tu przestępstw mogli zostać pociągnięci do odpowiedzialności cywilnej, lub karnej, nie była problemem (sprawy te były zresztą przedmiotem procesów przed sądami stanowymi). Jak jednak wyglądała kwestia odpowiedzialności, jaką za takie działania być może powinni ponosić Evers i „czarne kapelusze”? Oczywiście, ani on, ani osobnicy, którzy stali przed bojkotowanymi sklepami i notowali nazwiska kupujących nikogo nie pobili, do nikogo nie strzelali i nikomu nie zniszczyli mienia. Ale czy nie byli – w jakimś stopniu przynajmniej – winni przyczynienia się do bezprawnych działań? Czy przemówienia Eversa – który w jednym z nich posunął się do groźby „złamania karków” - nie przyczyniły się do wytworzenia atmosfery, której rezultatem były akty przemocy? Czy do przestępstw przeciwko Murzynom naruszającym bojkot nie przyczyniło się to, że ich nazwiska zostały najpierw zapisane, gdy robili oni zakupy w bojkotowanych sklepach – a następnie wydrukowane w lokalnej gazecie i odczytane w kościele? Kwestia tego, czy autorzy takich działań powinni zostać pociągnięci do odpowiedzialności nie jest prosta i oczywista. Jak rozstrzygnął ją Sąd Najwyższy USA?

„Brzmiało to mocno”

Przyjrzyjmy się temu, jak amerykańscy sędziowie potraktowali kwestię ewentualnej odpowiedzialności Charlesa Eversa. Jak była już mowa, Evers kilkakrotnie wygłaszał emocjonalne przemówienia, a w jednym z nich groził naruszającym bojkot „złamaniem karków”. Sąd Najwyższy USA przyznał, że brzmiało to mocno. W uzasadnieniu decyzji czytamy:

„W pełnej napiętości atmosferze, w jakiej przemówienia takie były wygłaszane, mogły być one zrozumiane jako zachęcanie do stosowania bezprawnych form „dyscyplinowania” ludzi naruszających bojkot, lub co najmniej jako mające na celu wytworzenie strachu przed przemocą, niezależnie od tego, czy niedopuszczalne prawnie formy „dyscyplinowania” były przez ich autora zamierzone, czy też nie”.

Wolność nie absolutna – ale bardzo duża

Pewne rodzaje wypowiedzi - jak stwierdził amerykański Sąd Najwyższy - nie są chronione przez I Poprawkę do Konstytucji. Wyłączone spod konstytucyjnej ochrony są np. tzw. „napaści słowne” – tzn. takie słowa, które kierowane „twarzą w twarz” do drugiej osoby z dużym prawdopodobieństwem mogą sprowokować ją do natychmiastowej, gwałtownej reakcji. Podobnie, niechronione są słowa umyślnie wywołujące natychmiastową panikę. Ale sam fakt, że treścią jakichś wypowiedzi jest propagowanie przemocy lub łamania prawa nie jest – zdaniem Sądu Najwyższego USA - dostatecznym powodem, by takich wypowiedzi zakazać, lub karać za nie. W rozpatrzonej w 1969 r. sprawie [Brandenburg v. Ohio](#) amerykański Sąd Najwyższy uznał, że wypowiedzi takie mogą stanowić przesłankę odpowiedzialności karnej lub cywilnej tylko wówczas, gdy mają na celu natychmiastowe wywołanie bezprawnego działania i – w okolicznościach, w jakich mają miejsce – faktycznie prawdopodobne jest, że osiągną one taki właśnie skutek. Stanowisko to zostało przyjęte przez Sąd Najwyższy USA właściwie jednomyślnie – „właściwie” – bo sędzia [William O. Douglas](#), który napisał w tej sprawie bardzo ciekawą opinię zbieżną (z którą zgodził się sędzia [Hugo Black](#)) stwierdził, że karalne mogą być tylko takie wypowiedzi, które w sposób bezpośredni i nierozzerwalny powiązane są z faktycznym bezprawnym działaniem innych osób (w swej opinii użył on pojęcia „*speech brigaded with action*” – mowa połączona z działaniem) – czego klasycznym przykładem może być sytuacja, w której ktoś krzyżąc fałszywie „pali się!” w zatłoczonym teatrze wywołuje panikę i wzajemne traktowanie się uciekających w popłochu ludzi.

Nie przekroczył granic

Evers – zdaniem Sądu Najwyższego USA – nie przekroczył jednak w swych nader emocjonalnych wystąpieniach granic wolności słowa określonych w sprawie Brandenbura. Wprawdzie po przemówieniu wygłoszonym 1 kwietnia 1966 r. miały miejsce akty przemocy – ale od przemówienia tego dzieliły je całe tygodnie lub nawet miesiące. W żadnym przypadku nie można było więc stwierdzić, że to właśnie wypowiedzi Eversa stanowiły bodziec, który bezpośrednio zachęcił niektórych ludzi do bezprawnych działań. Wystąpienia Eversa zawierały przede wszystkim wezwania do czarnych obywateli, by ci zjednoczyli się, wspierali i szanowali nawzajem i zdali sobie sprawę z politycznej i ekonomicznej siły, jaką potencjalnie dysponują. To prawda, że w wystąpieniach tych używany był mocny język. Jednak mocna i skuteczna, podejmowana na gorąco retoryka nie może być – jak stwierdził sędzia Stevens – wepchnięta w słodkobrzmiające frazy. Rzecznik takie czy innej sprawy musi mieć swobodę pobudzania swych odbiorców poprzez spontaniczne i emocjonalne wezwania do jedności i działań dla osiągnięcia wspólnego celu. Jeśli takie wezwania nie podburzają do bezprawnych działań, muszą być uważane za wypowiedzi chronione przez Konstytucję. Inne orzeczenie ignorowałoby „*głębokie przywiązanie Narodu do zasady, że wszelka debata o sprawach publicznych powinna odbywać się bez ograniczeń, głośno i jawnie*”.

Nie było też żadnych dowodów na to, by Evers – jako lokalny szef NAACP – kierował bezprawnymi działaniami, albo by takie działania uprzednio zatwierdził lub je autoryzował, względnie wydał instrukcje, dotyczące stosowania gróźb i dokonywania aktów przemocy. Całe orzeczenie przeciwko niemu musiało więc upaść. Podobnie, musiało upaść orzeczenie w

tym zakresie, w jakim skazywało ono niektóre osoby za udział w zebraniach lokalnego oddziału NAACP. Nie było bowiem żadnego dowodu na to, by podczas tych zebrań zatwierdzono jakiegokolwiek działania przestępcze – lub choćby tylko dyskutowano o możliwości ich podjęcia. A gdyby tak nawet było, to – chcąc być w zgodzie z I Poprawką – nikogo nie można karać za udział w jakiejś organizacji tylko dlatego, że jacyś członkowie tej organizacji dokonują przestępstw. Aby zgodnie z Konstytucją skazać kogoś za udział w związku przestępczym, trzeba udowodnić, że związek ten sam w sobie miał bezprawne cele, a dana osoba przyłączyła się do niego w zamiarze ich wsparcia.

Wyraźna analogia

Powróćmy teraz do wspomnianej na początku tego artykułu sprawy witryny *redwatch.info*. Jak była już mowa, sprawa ta wykazuje wyraźne podobieństwo do niektórych wątków rozpatrzonej przez amerykański Sąd Najwyższy sprawy NAACP v. Claiborne Hardware Co. A w każdym razie, związki między słowami, a przemocą lub innymi działaniami sprzecznymi z prawem działaniami w obu tych sprawach są bardzo podobne. Przemówienia Charlesa Eversa – jakkolwiek nie zawierały jednoznacznych wezwań do popełniania przestępstw – mogły przekonać niektórych ludzi do poglądów, które ostatecznie stały się w ich przypadku podłożem kryminalnych zachowań. Publikowanie nazwisk ludzi, którzy łamali bojkot mogło w dalszym stopniu przyczynić się do tych przestępstw, wskazując ich sprawcom konkretne obiekty do ataku. Jednak tego rodzaju związki między słowami, a czynami – które, prawdę mówiąc, równie trudno jest udowodnić, jak z całkowitą pewnością im zaprzeczyć – były zdaniem Sądu Najwyższego USA zbyt spekulatywne i odległe, by pociągnięcie Eversa, a także innych uczestników bojkotu w Hrabstwie Claiborne do odpowiedzialności mogło być uzasadnione. Związki między treściami opublikowanymi na stronie *redwatch.info*, a aktami przemocy lub w oczywisty sposób przestępczymi groźbami nie wydają się bliższe. Jeśli uważamy zatem, że Sąd Najwyższy USA słusznie uznał, że wypowiedzi Eversa – a także działania tego rodzaju, co zapisywanie i publikowanie nazwisk ludzi łamiących bojkot – mieściły się w granicach konstytucyjnie gwarantowanej wolności słowa, to czy nie powinniśmy siłą rzeczy uznać, że zasada swobody ekspresji powinna obejmować również stronę *redwatch.info*?

Słowa a czyny: podejście amerykańskie

Tu jednak pojawia się bardziej ogólna – i właściwie filozoficzna – kwestia: jak silny i bliski czasowo oraz przestrzennie powinien być związek między wypowiedzią, a wyrządzającym bezprawną szkodę działaniem, by zagrożenie autora wypowiedzi czy publicystę karą lub odpowiedzialnością cywilną było uzasadnione? W obecnym prawie amerykańskim związek ten – jak była mowa – musi być bardzo wyraźny. Aby autor jakiejś wypowiedzi mógł zgodnie z konstytucją zostać pociągnięty do odpowiedzialności z tego powodu, że jego słowa mogą zachęcić innych do popełnienia przestępstwa, wypowiedź ta musi spełniać dwa warunki: po pierwsze, jej treścią musi być wezwanie do konkretnego, bezprawnego działania – i to w dodatku działania w najbliższym, rzędu co najwyżej minut czy godzin czasie – a nie w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości; po drugie, wypowiedź taka musi mieć miejsce w takich okolicznościach, w których prawdopodobieństwo bezpośredniego spowodowania takiego działania jest co najmniej poważne. Przykładem wypowiedzi mogącej spełniać takie kryteria mogłoby być rzadko spotykane w dzisiejszych czasach podburzanie już wcześniej rozwścieczonego tłumu do dokonania na wskazanych ludziach linczu lub pogromu. Ale już np. wygłaszanie czy publikowanie jakichś obraźliwych i nienawistnych komentarzy na temat takiej czy innej grupy etnicznej, narodowej, czy religijnej – włącznie ze stwierdzeniami, że członków takiej grupy powinno się wymordować - uznawane jest za prawnie dopuszczalne –

choć oczywiście moralnie naganny i powszechnie potępiany – przejaw korzystania z gwarantowanej przez Konstytucję wolności słowa. W każdym razie, podnoszony często przez zwolenników karalności „hate speech” – czyli wypowiedzi atakujących i obrażających mniejszości – argument, że wypowiedzi takie mogą w jakiś pośredni sposób przyczynić się do przestępstw przeciwko członkom takich grup, nie jest w Stanach Zjednoczonych uważany za dostateczny powód do tego, by wypowiedzi takie uznać za przestępstwo.

3 lata za podniesioną rękę

Żyjemy jednak nie w Ameryce, lecz w Europie. Dominujące zarówno w prawie wewnętrznym poszczególnych państw Starego Kontynentu, jak i w orzecznictwie [Europejskiego Trybunału Praw Człowieka](#) w Strasburgu podejście do kwestii granic wolności słowa jest – przynajmniej w interesującym nas tu najbardziej względzie – bardzo odmienne od tego, jakie ukształtowało się w precedensowym prawie amerykańskim. Przepisy prawne przewidujące kary za publiczne znieważanie określonych grup narodowych, etnicznych, religijnych itp. lub za „podżeganie do nienawiści” przeciwko takim grupom (które nie musi powodować bezpośredniego niebezpieczeństwa dla członków takich grup i nie musi stanowić wezwania do konkretnych aktów przemocy) są w krajach europejskich czymś powszechnym. A w niektórych z nich, prawo idzie jeszcze dalej: np. w Niemczech za samo tylko podniesienie ręki w geście nazistowskiego pozdrowienia można – zgodnie z art. [86a Kodeksu Karnego](#) – trafić do kryminału nawet na trzy lata.

Odrzucone skargi

Osoby skazane w krajach europejskich za nawoływanie do nienawiści przeciwko takim czy innym grupom narodowym czy etnicznym (np. Żydom, Cyganom czy Muzułmanom), względnie za negowanie Holocaustu lub propagowanie ideologii nazistowskiej niejednokrotnie usiłowały odwoływać się do organów strasburskich (tj. Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – a wcześniej, do zlikwidowanej w roku 1998 [Europejskiej Komisji Praw Człowieka](#)) argumentując, że wydane w ich sprawach wyroki stanowiły naruszenie art. 10 [Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności](#), który chroni prawo obywateli państw będących stroną tej Konwencji (Polska jest nią od 1993 r.) do wolności słowa. Jednak wspomniane organy – opierając się czy to na paragrafie drugim wspomnianego art. 10, który stwierdza, że gwarantowana przez paragraf pierwszy tego przepisu swoboda wypowiedzi może być ograniczana, jeśli jest to „konieczne w społeczeństwie demokratycznym” dla ochrony takich m.in. wartości, jak bezpieczeństwo państwa, bezpieczeństwo i porządek publiczny, a także moralność publiczna oraz prawa i wolności innych osób, czy też na artykule 17, który kategorycznie wyłącza spod ochrony Konwencji wszelkie działania zmierzające do zniweczenia gwarantowanych przez tą Konwencję praw lub wolności, lub ich ograniczenia w stopniu większym, niż owa Konwencja to dopuszcza – odrzucały takie skargi bez większych ceregieli. Z lektury niektórych orzeczeń, jakie w takich sprawach wydała Europejska Komisja Praw Człowieka (takiego choćby, jak orzeczenie w sprawie Hennieke przeciwko Niemcom z 1997 r.) w sposób wyraźny wynika, iż podnoszony często przez zwolenników zakazu takich wypowiedzi argument, że wypowiedzi takie mogą w sposób pośredni – poprzez przekonanie niektórych ludzi do pewnych poglądów i wywołanie u nich określonych emocji – przyczyniać się do aktów przemocy czy dyskryminacji przeciwko członkom atakowanych grup, stanowi w opinii tych organów dostateczny powód do tego, by wypowiedzi takie mogły być uważane za przestępstwo.

Wypowiedzi... są niebezpieczne

Z podejściem takim jest jednak co najmniej jeden problem: pojawia się pytanie, czy można je zastosować w sposób konsekwentny? Bo jeśli np. wypowiedzi, których treścią jest propagowanie postaw nienawiści czy pogardy wobec jakiejś grupy narodowej czy etnicznej mogą być zakazane z tego powodu, że mogą one przekonać niektórych ludzi do poglądów mogących stać się podłożem przestępstw przeciwko członkom takiej grupy – to dlaczego nie zakazać propagandy przeciwników globalizacji, stosując równie zasadny argument, że przekonania i emocje, jakie u niektórych ludzi mogą się zrodzić pod wpływem wypowiedzi przedstawiających Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy czy Światową Organizację Handlu jako winowajców głodu, bezrobocia, kryzysów gospodarczych, niszczenia środowiska i wojen mogą popchnąć tych ludzi do wszczęcia rozruchów, po których miasto będące miejscem obrad którejś z tych instytucji będzie wyglądało, jak po przejściu tornada? (mało było takich zdarzeń?). Albo dlaczego nie zabronić propagowania poglądu, że ingerencje w dziedzinę genetyki niosą za sobą nieuchronne zagrożenie dla ludzkiego życia i zdrowia – i w ogóle środowiska naturalnego – argumentując, że taka propaganda może prowadzić do nastrojów, w których przestępstwa tego rodzaju, co np. podpalanie i wysadzenie w powietrze laboratoriów prowadzących eksperymenty genetyczne stają się co najmniej bardziej prawdopodobne? Dlaczego nie wyjąć spod prawa propagandy ekologów, gloryfikujących nieskażone środowisko naturalne i roztaczających katastroficzne wizje skutków niszczenia tego środowiska przez ludzi – argumentując, że głoszone przez nich poglądy mogą stać się podłożem dla ekoterroryzmu? Dlaczego nie zakazać propagandy obrońców praw zwierząt – argumentując, że ludzie przekonani do poglądu, że „zwierzę nie jest rzeczą” (co zapisane jest zresztą w Ustawie o Ochronie Zwierząt z 1997 r. i z czym autor tego tekstu całkowicie się zgadza) i przejęci pod wpływem takiej propagandy losem zabijanych na żywność lub futra, albo wykorzystywanych w laboratoryjnych doświadczeniach zwierząt mogą się czasem posunąć do takich czynów, jak podpalanie sklepów z futrami, niszczenie ciężarówek do przewozu zwierząt rzeźnych, czy podkładanie bomb pod laboratoria dokonujące doświadczeń na zwierzętach? Dlaczego wreszcie nie uznać za przestępstwo głoszenia poglądu, że aborcja jest czymś równoznacznym z morderstwem – jeśli w sposób równie przekonujący, jak w przypadku propagandy rasistowskiej można argumentować, że zrodzone w następstwie wpływu takiej propagandy przekonania i emocje mogą stać się podłożem dla takich czynów, jak demolowanie i podpalanie klinik aborcyjnych lub mordowanie dokonujących zabiegów przerwania ciąży lekarzy? (przy okazji, warto zauważyć, że na analogicznej zasadzie można by uzasadnić zakaz propagowania poglądu, iż aborcja nie jest równoznaczna z zabójstwem: bądź, co bądź, w społeczeństwie absolutnie przekonanym co do tego, że aborcja jest czymś zbrodniczym takie przestępstwa, jak nielegalne akty przerwania ciąży, względnie napaści obrońców prawa kobiet do swobodnego wyboru w kwestii tego, czy urodzić dziecko, czy przerwać ciążę na zwolenników zakazu aborcji są mniej prawdopodobne, niż w społeczeństwie, które nie jest co do tego zgodne). I dlaczego nie zakazać propagowania poglądu, że żyjemy w czasach ostatecznych, bliskich końca świata – argumentując, że niektórzy osobnicy przekonani do takiego punktu widzenia będą chcieli ów koniec nieco przyspieszyć – posuwając się do takich czynów, jak choćby pamiętne rozpylenie sarinu w tokijskim metrze przez millenarystyczną sektę Najwyższa Prawda w marcu 1995 r.? Dlaczego tolerować drukowanie i rozpowszechnianie Koranu – czy argument, że wśród czytelników tego dzieła mogą znaleźć się tacy, którzy w następstwie zrodzonych pod wpływem tego dzieła przekonań i emocji staną się terrorystami islamskimi nie jest równie dobry, jak argument, że osobnicy będący pod wpływem propagandy rasistowskiej mogą się niekiedy posunąć do popełnienia przestępstw przeciwko członkom atakowanych przez taką propagandę grup społecznych?

Jeśli dostatecznym powodem do zakazu pewnych wypowiedzi może być argument, że wypowiedzi takie mogą w jakiś pośredni sposób przyczynić się do czegoś złego, to bardzo

trudno jest określić granicę, poza którą ograniczenia wolności słowa logicznie rzecz biorąc nie powinny się posunąć. I jeśli ktoś uważa, że prawo powinno zabraniać publikowania pewnych treści z tego powodu, że treści te mogą mieć niebezpieczny wpływ na niektórych odbiorców, to winien pamiętać, że dziełem najczęściej przytaczanym przez rozmaitych kryminalistów i psychopatów jako źródło inspiracji dla popełnionych przez nich zbrodni – od bicia żon i dzieci zaczynając, a na masowych i seryjnych morderstwach kończąc – jest... Biblia.

Czy to tylko poglądy?

Oczywiście, w odniesieniu do strony *redwatch.info* i opublikowanej na niej „listy wrogów” mógłby ktoś twierdzić, że strona ta nie tyle – a w każdym razie nie tylko – usiłuje przekonywać jej czytelników do poglądów, które potencjalnie mogą stać się podłożem, przestępstw (choć to samo można powiedzieć o wszelkich poglądach, którymi jacyś ludzie mogą się przejąć – jak w pewnej opinii stwierdził sędzia Sądu Najwyższego USA [Oliver Wendell Holmes](#) „każda idea jest podżeganiem” a jedyną tak naprawdę różnicą między głoszeniem opinii, a podżeganiem w bardziej ścisłym sensie tego słowa, jest w przypadku tego drugiego entuzjizm autora wypowiedzi wobec skutków, do jakich mogą doprowadzić jego słowa (2) ale że wskazuje obiekty do ataku osobnikom już i tak przekonanym do takich poglądów – w ten sposób narażając innych ludzi na niebezpieczeństwo.

Ale ten sam argument można by zastosować w odniesieniu do „listy wrogów” opublikowanej przez jakikolwiek ruch społeczny. Bardzo wiele takich ruchów – obrońcy środowiska naturalnego i praw zwierząt, ruchy na rzecz praw pracowniczych, antyfaszyści, czy nawet pacyfiści – miało i ma swoje ekstremistyczne, posuwające się do przemocy skrzydło. Publikacja takiej listy przez umiarkowanych nawet członków któregoś z takich ruchów społecznych może przyczynić się do tego, że skrajni członkowie takiego ruchu posuną się do aktów przemocy przeciwko tym, którzy ich zdaniem są obiektem uprawnionego ataku. Jeśli zatem można zakazać publikacji listy sporządzonej przez faszystów – argumentując, że osoby umieszczone na takiej liście mogą stać się obiektem fizycznej napaści ze strony niektórych z jej czytelników, to z jakiego powodu należy tolerować analogiczne listy sporządzane np. przez antyfaszystów – skoro skutki dla umieszczonych na takich listach osób mogą praktycznie identyczne? (3)

Metody podobne – cele inne

Wróćmy jeszcze na chwilę do wspomnianej tu sprawy NAACP v. Claiborne Hardware Co. Pewne wątki tej sprawy – jak była już mowa – wykazują całkiem wyraźne podobieństwo do sprawy *redwatch.info*. Ale jest też między tymi sprawami pewna zasadnicza różnica – chodzi o ideologię, jaka w obu tych sprawach motywowała autorów wypowiedzi. Ewersowi i uczestnikom bojkotu w Hrabstwie Claiborne chodziło o to, by dyskryminowani wówczas Murzyni stali się pełnoprawnymi i szanowanymi członkami amerykańskiej i lokalnej społeczności. Twórcom strony *redwatch.info* chodzi natomiast o coś dokładnie przeciwnego.

Czy może to być przekonujący argument na rzecz tezy, że o ile wypowiedzi, o które chodziło w sprawie NAACP v. Claiborne Co. mieściły się w granicach wolności słowa, to wypowiedzi, o które chodzi w przypadku strony *redwatch.info* poza granice owej wolności wykraczają? Niewykluczone, że dla Europejskiego Trybunału Praw Człowieka – gdyby (co w pierwszym przypadku jest oczywiście niemożliwe) rozpatrywał on te dwie sprawy - argument taki mógłby mieć znaczenie. Przede wszystkim, jak była już mowa, art. 17 Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolności (zwanej popularnie Europejską Konwencją Praw Człowieka) wyklucza możliwość ochrony na jej podstawie wszelkich działań – a za działania

takie orzecznictwo Trybunału uznaje również wypowiedzi – których celem jest zniweczenie gwarantowanych przez tą konwencję praw i wolności lub doprowadzenie do ich ograniczenia w stopniu większym, niż owa Konwencja dopuszcza. Faszystom i rasistom takie cele zazwyczaj się przypisuje (nawet, jeśli nie deklarują ich wyraźnie) – i z tego m.in. powodu wnoszone przez nich sprawy były odrzucane przez organy strasburskie jako z góry niedopuszczalne.

Podstawowa zasada: neutralność wobec idei

Jednak w amerykańskim Sądzie Najwyższym argumentacja taka najprawdopodobniej nie miałaby żadnych szans na powodzenie. Jedną bowiem z podstawowych zasad przyjętego przez ten sąd podejścia do kwestii granic wolności wypowiedzi jest zasada, że ograniczenia wolności słowa muszą mieć charakter ideologicznie neutralny. W sposób oczywisty wykluczone są więc zakazy „znieważania” czy „nawoływania do nienawiści” z pewnych tylko powodów – takich, jak przynależność narodowa czy religijna – ale nie innych – takich np. jak poglądy, czy prowadzona działalność. Nawet w przypadku tych kategorii wypowiedzi, które zdaniem Sądu Najwyższego USA nie cieszą się konstytucyjną ochroną – a więc „napaści słownych”, gróźb, niebezpiecznego podburzania do natychmiastowej przemocy czy personalnych oszczerstw i zniesławień – niedopuszczalne jest zakazywanie tych tylko wypowiedzi, które wyrażają poglądy szczególnie potępiane przez ustawodawcę – przy jednoczesnym tolerowaniu innych. Sam zresztą podstawowy precedens, jaki ostatecznie uchronił Eversa i innych uczestników bojkotu w Hrabstwie Claiborne od konieczności płacenia bająńskich sum na „pokrzywdzonych” przez nich handlowców – orzeczenie w sprawie *Brandenburg v. Ohio* – dotyczył mówcy, którego ideologia była diametralnie przeciwna do tej, która stanowiła podłoże działań Eversa i NAACP: chodziło lokalnego przywódcę Ku Klux Klanu, który został skazany za grożenie rządowi przemocą, jeśli ten będzie prowadził dalsze działania na rzecz równouprawnienia Murzynów (bo jak inaczej można rozumieć wypowiedziane przez Brandenburga słowa o „dalszym prześladowaniu białej, kaukaskiej rasy”?) i domagał się odesłania wszystkich Murzynów do Afryki, a Żydów do Izraela.

Możliwe podstawy odpowiedzialności

Twierdzenie, że strona *redwatch.info* powinna być chroniona przez zasadę wolności słowa nie jest zatem jakąś aberracją. Czy znaczy to jednak, że publikowanie tego rodzaju treści w żadnym przypadku nie powinno być powodem do pociągnięcia kogoś do odpowiedzialności cywilnej lub karnej? Sytuacje takie można sobie wyobrazić. Załóżmy, że jakaś grupa osób chce dokonywać przestępstw przeciwko członkom nielubianej przez siebie grupy społecznej i ktoś – wiedząc o tym i chcąc im to ułatwić – publikuje dane, istotnie ułatwiające takim ludziom popełnianie przestępstw – a więc np. nazwiska, zdjęcia, adresy, czy numery szyfrów do domofonów. Ktoś taki mógłby w sposób zasadny zostać uznany winnym pomocnictwa w dokonaniu przestępstwa – jak stwierdza art. 18 §3 obowiązującego kodeksu karnego, odpowiada za pomocnictwo ten, kto w zamiarze, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, swoim zachowaniem ułatwia jego popełnienie, w szczególności dostarczając narzędzie, środek przewozu, albo – co w kontekście takiego przypadku jest szczególnie istotne - udzielając rady lub informacji. W Stanach Zjednoczonych ktoś taki – nawet, gdyby do faktycznych aktów przemocy nie doszło – mógłby zostać uznany winnym udziału w kryminalnym spisku – przestępstwo to, istniejące zarówno w prawie federalnym, jak i kodeksach karnych poszczególnych stanów – polega na tym, że dwie lub więcej osób zgadzają się wspólnie na popełnienie przestępstwa i któraś z tych osób dokonuje czynu, zmierzającego do realizacji celu przyświecającego spiskowcom. Publikacja listy tego rodzaju,

co umieszczona na stronie *redwatch.info* mogłoby być takim czynem – przede wszystkim, czyn taki nie musi sam w sobie być bezprawny – wystarczy, że wskazuje na to, że osoby zaangażowane w spisek znały jego plan i chciały złamać prawo.

Generalne przestępstwo udziału w spisku nie istnieje jednak w prawie polskim. Poza tym, na stronie *redwatch.info* nie ma zbyt wielu informacji mogących ułatwić popełnianie przestępstw. Jak na samym początku tego artykułu zostało wspomniane, tylko wyjątkowo można znaleźć na tej stronie takie informacje, jak np. adresy domowe opisanych na niej osób. Częściej pojawiają się adresy poczty internetowej i telefony, jest także sporo zdjęć – ale informacje te z pewnością były publicznie dostępne jeszcze przed pojawieniem się *redwatch.info*.

Mało takich?

Z tego też względu nie wydaje się zasadny pogląd, że autorzy strony *redwatch.info* nie powinni korzystać z wolności słowa dlatego, że naruszają prywatność innych osób (problem ten wyglądałaby inaczej, gdyby umieszczone na niej dane typu e – maile, telefony, numery gadu-gadu i wreszcie adresy domowe nie były wcześniej znane publicznie). Na temat Macieja Dowhyłuka, który padł ofiarą brutalnego przestępstwa, napisane jest w ogóle niewiele: z *redwatch.info* można dowiedzieć się, że ma ok. 30 lat, ok. 185 – 190 cm wzrostu, charakterystyczną bródkę długości ok. 2 cm i dłuższe, przetłuszczone włosy, ubiera się przeciętnie („nie jak punk, lewak czy inny pomiot”) mieszka w okolicach ul. Tamka, bywa na squatach za granicą, jest głównym szefem warszawskiej antify – i może być groźny w starciu bezpośrednim. Nie ma jego zdjęcia, telefonu, ani tym bardziej adresu. Czy na podstawie wspomnianych informacji patrząc na idących ulicą ludzi można ze stuprocentową (a nawet po prostu dużą) pewnością stwierdzić, że któryś z nich to właśnie Maciej Dowhyłuk? Mało jest ludzi, których wygląd odpowiada takiemu właśnie rysopisowi?

Wątpliwe zarzuty

Nie wdając się już w filozoficzne dywagacje na temat tego, czy twórcy *redwatch.info* powinni być chronieni przez zasadę wolności słowa, można mieć wątpliwości odnośnie zarzutów postawionych tym osobom przez prokuraturę. Jeśli chodzi bowiem o zarzut „nawoływania do nienawiści” to faktycznie, stwierdzić trzeba, że opublikowane na tej stronie treści mają charakter wyjątkowo nienawistny – tyle tylko, że powodem owej nienawiści są – szkodliwe zdaniem twórców tej strony – poglądy i działalność opisanych na niej osób – a nie ich przynależność do takich czy innych grup narodowych, etnicznych, rasowych czy wyznaniowych jako taka. Zgodnie z art. 256 obowiązującego k.k. karalne jest nawoływanie do nienawiści „na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość”. „Nawoływanie do nienawiści” z powodu czyichś poglądów, przynależności do jakiejś organizacji czy podejmowanych działań nie jest – póki co - przestępstwem.

Przestępstwem natomiast jest nawoływanie do stosowania przemocy lub groźby bezprawnej przeciwko określonej osobie lub grupie osób – również wtedy, gdy motywem takiego nawoływania jest przynależność polityczna takiej osoby albo grupy osób. Jednak z postawieniem takiego zarzutu twórcom *redwatch.info* jest jeden zasadniczy problem: na stronie tej nie ma bezpośrednich wezwań do popełnienia przestępstw. Za takie nawoływanie trudno jest w sposób uczciwy uznać wspomniane na wstępie motto: „Pamiętaj miejsca, twarze zdrajców rasy, oni wszyscy zapłacą za swoje zbrodnie” – przede wszystkim, istnieje różnica między wzywaniem do popełnienia przestępstwa przeciwko komuś, a wyrażaniem

przekonania, że ten ktoś padnie ofiarą przestępstwa – a w tym przypadku mamy do czynienia raczej z tym drugim.

Lecz jeśli prokuratura upierałaby się, że strona *redwatch.info* wzywa do popełniania przestępstw – a sąd wydałby na takiej podstawie wyrok skazujący – to widać byłoby jak na dłoni, jak sformułowane w artykułach 119 §2 oraz 255 k.k. zakazy „nawoływania do popełnienia przestępstwa” są potencjalnie elastyczne i przez to niebezpieczne dla wolności słowa. Historycznie rzecz biorąc, przepisy dotyczące nawoływania czy podżegania do przestępstw i przemocy wielokrotnie stosowano w celu represjonowania ludzi, których jedyną winą było to, że głosili oni poglądy nieakceptowane i uważane za potencjalnie niebezpieczne przez władze. W Stanach Zjednoczonych przepisy zabraniające propagowania przemocy lub innych bezprawnych działań jako środków mających na celu doprowadzenie do zmian politycznych lub gospodarczych stosowane były w pierwszych dekadach XX w. jako narzędzie prześladowania przeciwników kapitalizmu i obrońców interesów pracowniczych – mimo, iż wypowiedzi, za które tacy ludzie byli sądzeni, nie zawierały najczęściej – nawet ogólnikowych i abstrakcyjnych – wezwań do popełniania przestępstw (4). Z tego też m.in., jak się wydaje, względu, Sąd Najwyższy USA bardzo poważnie ograniczył możliwość karania za „nawoływanie do popełnienia przestępstwa”: nawoływanie takie może być karalne tylko wówczas, gdy jego celem jest natychmiastowe doprowadzenie do przestępczych czynów i w sytuacji, w jakiej ma ono miejsce, bezpośrednie wzniecenie takich czynów jest faktycznie prawdopodobne.

Czy wolno opublikować listę komunistów?

Pozostaje wreszcie kwestia zarzutu naruszania [Ustawy o Ochronie Danych Osobowych](#). Jak wynika z art. 49 §2 tej ustawy, przetwarzanie – a więc również publikowanie - zbiorów danych osobowych, ujawniających pochodzenie rasowe lub etniczne, poglądy polityczne, przekonania religijne lub filozoficzne, przynależność wyznaniową, partyjną lub związkową, dane o stanie zdrowia, kodzie genetycznym, nałogach lub życiu seksualnym innych osób jest przestępstwem zagrożonym karą grzywny, ograniczenia wolności, albo pozbawienia wolności do lat 3.

Pojawia się jednak pytanie, kto jest adresatem takiego zakazu? Bo jeśli tylko władze publiczne – to zakaz ten jest bardzo słuszny. Władze demokratycznego i szanującego prawa człowieka państwa nie mogą sporządzać list Żydów, komunistów, Świadków Jehowy, czy homoseksualistów – choćby dlatego, że powinny traktować wszystkich podległych sobie ludzi w sposób równy. Ale jeśli zakaz ten wymierzony jest również przeciwko osobom i organizacjom prywatnym, to jest on już cokolwiek problematyczny. Czy z art. 49 §2 Ustawy o Ochronie Danych Osobowych wynika, że przestępstwem jest sporządzenie – dajmy na to – listy socjalistów, konserwatystów czy ludowców? Wygląda na to, że tak...ale każdy zgodzi się chyba z tym, że robienie z czegoś takiego przestępstwa – w każdym razie, gdy chodzi o ludzi, o których i tak wiadomo, że są socjalistami, konserwatystami czy ludowcami – byłoby absurdem. Czy jest jakiś powód, by listę anarchistów, działaczy antyfaszystowskich i lewaków potraktować inaczej?

Czy to groźby?

Powód taki można oczywiście wskazać: opublikowanie danych o niektórych ludziach na stronie *redwatch.info* wywołało u tych ludzi strach. Można zadać pytanie, na ile ten strach jest uzasadniony – niewątpliwie jednak, jest on, lub był, pewnym stanem faktycznym. Jednak – jak w słynnym zdaniu zbieżnym (a *de facto* odrębnym) w sprawie [Whitney versus California](#) (dotyczącej skazania za udział w partii komunistycznej jako organizacji propagującej

przemoc) słusznie stwierdził blisko 80 lat temu sędzia Sądu Najwyższego [Louis Brandeis](#), obawa przed możliwą szkodą – nawet poważną – nie może być uważany za dostateczną podstawę do ograniczenia wolności słowa. Bardzo wiele wypowiedzi i publikacji może – w przypadku niektórych osób – mieć taki właśnie skutek: strach mogą wywoływać publikacje o przestępczości, o zatruciu środowiska, o groźących potencjalnie człowiekowi chorobach, o dziurze ozonowej i wreszcie – o możliwej katastrofie kosmicznej – tej ostatniej, jak wiadomo, najprawdopodobniej byśmy nie przeżyli.

Oczywiście, może ktoś zauważyć, że prawo przewiduje kary za grożenie innym osobom popełnieniem przeciwko nim przestępstwa. Publikacji na stronie *redwatch.info* nie można jednak uznać za karalne groźby w rozumieniu art. 190 §1 lub 191 §1 kodeksu karnego: przestępstwa te popełniane są wówczas, jeśli ktoś grozi innej osobie tym, że osobiście popełni przeciwko niej przestępstwo, a groźba taka wywołuje u pokrzywdzonego uzasadnioną obawę, że zostanie spełniona (tak jest w przypadku pierwszego z tych przestępstw) lub ma na celu zmuszenie jej do określonego działania, zaniechania lub znoszenia (tak jest w drugim przypadku). Na stronie *redwatch.info* nie ma treści jednoznacznie wskazujących na to, że jej autorzy chcieliby osobiście popełnić przestępstwa przeciwko opisanym na niej osobom – zaś osoby te obawiały się raczej ataków ze strony osób trzecich – nie ze strony samych autorów tej witryny.

Będzie cenzura – będziemy bezpieczni?

I wreszcie, trzeba zerwać z rozpowszechnionym wśród wielu ludzi przekonaniem, że dzięki zakazowi pewnych wypowiedzi możemy być bezpieczniejsi. Czy członkowie pewnych mniejszości rasowych, narodowych, etnicznych czy seksualnych są w krajach europejskich – w których tzw. „hate speech” jest surowo karana – są lepiej chronieni przed aktami dyskryminacji i przemocy, niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie głoszenie nawet najbardziej skrajnych i rasistowskich poglądów jest prawnie dopuszczalne (aczkolwiek potępiane przez większość społeczeństwa)? Obserwowany w wielu krajach Europy Zachodniej wzrost nietolerancji i przestępczości motywowanej m.in. rasizmem i homofobią – o którym była mowa m.in. w niedawnej rezolucji Parlamentu Europejskiego - daje chyba odpowiedź na tak postawione pytanie.

Strona znikła?

W dniu 6 lipca 2006 r. strona *redwatch.info*, która znajdowała się na amerykańskim serwerze, znikła z Internetu. Została zablokowana przez FBI na wniosek polskiej policji. „Spotkaliśmy się ze znakomitą współpracą” – powiedział Komendant Główny Policji, Marek Bieńkowski. Nie powiedział jednak, że pierwsze oficjalne zawiadomienie o zawartości tej strony polska policja otrzymała (od zespołu „[Dyżurnet](#)” [NASK!](#)) już w styczniu 2005 r.

Jak się jednak okazało, usunięcie tej strony z zasobów Internetu nie było definitywne; po pewnym czasie pojawiła się ona – pod innym adresem - ponownie.

A jednak porachunki osobiste

3 sierpnia 2006 r. w Czaplunku (woj. Zachodniopomorskie) policja zatrzymała sprawcę napadu na Macieja Dowhyłuka. Postawiono mu zarzut usiłowania zabójstwa, zagrożony karą od 8 lat pozbawienia wolności do dożywocia. Okazało się jednak, że wyłącznym motywem popełnionego przez niego przestępstwa były porachunki osobiste – sprawca wspomnianej zbrodni postanowił zemścić się na Macieju Dowhyłuku za wcześniejsze o rok pobicie po

koncercie. Tak więc zbrodnia, o której powszechnie sądzono, że została zainspirowana przez *redwatch.info*, okazała się nie mieć z tą stroną nic wspólnego.

Przypisy:

1. „Kongres nie może stanowić ustaw wprowadzających religię albo zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych; ani ustaw ograniczających wolność słowa lub prasy, albo naruszających prawo do spokojnego odbywania zebrań i wnoszenia do rządu petycji o naprawienie krzywd”. W amerykańskiej doktrynie prawnej i orzecznictwie sądowym przyjmuje się, że postanowienia §1 XIV Poprawki do Konstytucji („Każdy, kto urodził się lub naturalizował w Stanach Zjednoczonych i podlega ich zwierzchnictwu, jest obywatelem Stanów Zjednoczonych i tego Stanu, w którym zamieszkuje. Żaden Stan nie może ogłosić ani narzucić jakiegokolwiek prawa, które ograniczałoby prawa i wolności obywateli Stanów Zjednoczonych; w żadnym Stanie nie wolno też nikogo pozbawić życia, wolności ani własności, bez właściwego postępowania prawnego, nie można też na obszarze jego jurysdykcji odmówić komukolwiek równej ochrony prawnej”) rozciągają jej moc obowiązującą na władze stanowe.

2. Zob. zdanie odrębne (dissenting opinion) sędziego Holmesa w sprawie [Gitlow v. New York](#) (1925).

3. Zob. artykuł [Eugene’a Vollokh’a](#) (profesora prawa na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles “[Menacing Speech, Today and During the Civil Rights Movement](#)”).

4. Zob. [The Right to Advocate Violence](#) – broszura [American Civil Liberties Union](#) (ACLU) z 1931 r.

[Strona główna](#)